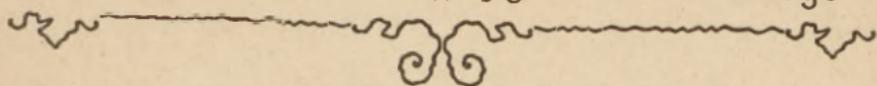


Miłość Górala

MIŁOŚĆ GÓRALA.

Druk W. Maślankiewicza, Jerozolimska 68. Telefon 2966.

Bezpłatny dodatek do „Tygodnika Polskiego“.



IGNACJA PIĄTKOWSKA

MIŁOŚĆ GÓRALA

Obrazek dramatyczny w 3-ch odsłonach.



WARSZAWA

Nakład „Tygodnika Polskiego“.

—
1904.

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ.

Варшава, 12 Октября 1904 г.



197843

OSOBY:

MAKSYM, góral, lat 22.

SZYMON, jego ojciec, lat 60.

SALKA, góralka, lat 18.

HRABIANKA IWONA, lat 19.

ORLIK, wróżbita.

OPRYSZKI GÓRALE, GÓRALKI, CYGANIE, OPRYSZEK 1 — 2, GÓRAL 1 — 2, STACH.

Rzecz się dzieje w Tatrach.

ODSŁONA I.

Scena przedstawia polankę wśród wyniosłych gór i lasów; na stronie widać chatę góralską; ognisko w głębi sceny; przy ognisku górale, oparci o złomy skał, stroje ich oryginalne i fantastyczne; na ziemi rozrzucone widnieją strzelby, siekierki; na wzniesieniu z kamieni, w poetycznych pozach, rozłożeni siedzą cyganie, grając czardasza, górale śpiewają chórem, potem Maksym, spoglądając z dumą po obecnych, rozpoczyna taniec solowy, ujmując się pod boki, wyskakuje ku górze, nogami wyrzuca w tył, naprzód, przysiadając, znów pozostaje, w końcu bez słowa na ustach, rzuca się na ziemię.

GÓRAL 1-szy.

A to tańczy! szkoda tylko, że taki chmurny.

GÓRAL 2-gi.

Jeszcze nie widział takiego mołojca. Czy prawda to, Szymonie, co to ludzie mówią, że on Salki nie kocha, a chociaż to krasawica — powiadają ot zapatrzył się, ale to nie prawda, wy, ojciec, tobyście wiedzieli — a mówiła mi nawet stara znachorka, że on z czarnym pobratany, nie siedzi w domu, tylko biega po górach, lasach — mówiła też owa stara, że on z czarownicami na krzyżowe stacye uczęszcza i że jemu nie napisane śmierć w łożu — czy to może być — powiedzcież mi Szymonie?

SZYMON (smutnie).

Nie wiem po co ty, gazdo, kraczesz, — chodzi, to chodzi, lubi biegać, to się zapędzi — ha! patrzcie, bracie, ot powstał znów i tańczy (Maksym rozpoczyna taniec), sokół to nie mołojec.

GÓRAL 1-szy.

Sokół — sokół, to prawda, ale i Salka sokolica, a czemuż on jej nie rad; woli wasz legiń bić niedźwiedzie i dziki, niż w oczęta jej patrzeć.

SZYMON (obruszając się).

Cóż z tego choćby i nie dbał, ale przyznajcie, iż legiń to jakich mało, więcej on zabił nie-

dźwiedzi, niż lat przeżył, a sam widziałem, jak wiewiórkę w biegu trafił toporkiem; któż to z was potrafi? Na kochanie mu czas, niech buja orle dopóki młode.

GÓRAL 2-gi.

Daj Boże, aby się tylko Maksym wam ustakował i ożenił, toć to będzie pociecha, taki chwat i kraśny, jakby panicz; ależ, patrzcie, przestał już tańczyć (rozmawiają wszyscy półgłosem na uboczu i oddalają się potrochu; wchodzi z gronem dziewcząt, które idą dalej, Salka, strojna, zbliża się do Maksyma, a widząc, że ten chce odejść — nagle).

SALKA (czule, a żywo).

Maksymie, ty ztąd nie odejdziesz!

MAKSYM.

Pójdę strzelać.

SALKA (z rosnącą rozpaczą).

A potem, — potem znowu w góry, oj, Maksymie, Maksymie, ciebie coś ciągnie w te puszcze i skały. Ledwie chwilę jesteśmy razem, byleś mnie ujrzał, już chcesz biedz (po chwili) — milczysz, ty mój sokole, o ty chyba mnie już nie kochasz, albo nie kochałeś wcale.

MAKSYM (z wyrzutem).

Salko!

SALKA.

Cóż ja tobie złego zrobiłam, że uciekasz; żadnemu innemu leginiowi w oczy nie spojrzę, tylko myślę o tobie ciągle Maksymie, a ty?... kiedy przyjdiesz z gór, to chwilę, nie przemówisz nawet, a odchodzisz znowu, ja zaś sama pozostaję w domu smutna i stęskniona — o ale ty masz powód? ty coś kryjesz w głębi, na sercu?

MAKSYM (żywo, roztargniony).

Salko, co mówisz, cóżbym miał kryć co przed tobą?

SALKA.

No to spojrzij mi w oczy, Maksymie; nie chcesz, och nieszczęsna moja dola, dawniej byś patrzył na mnie i ja patrzyłam w twoje oczy jak w dwie gwiazdy na niebie, a dzisiaj? dzisiaj pewno ja tobie przeszkadzam. Ojcowie nasi, dawno już kiedyśmy byli dziećmi, chowali nas dla siebie, moi pomarli, a wtedy twój ojciec zabrał mnie do siebie i chował pókim nie dorosła; ty wiesz o tem, ale nie chcesz tego Maksymie, tybyś chciał jak orzeł, polecieć za rzeki, góry, w daleki świat, het! het! odemnie... (patrząc w twarz Maksyma, wyra-

zającą walkę) ha! więc inaczej być nie może, żegnaj Maksymie (odchodzi do widniejących wdali dziewcząt; słyhać z oddali śpiew zbliżający się i Orlik, wchodzi poważnie, w stroju góralskim, nagle kładzie dłoń na ramieniu Maksyma).

MAKSYM (wyjmując broń).

Wróg, czy swój?

ORLIK.

Ścigany od hajduków — Orlik opryszek.

MAKSYM (opuszczając broń).

Opryszek — mówcie co żądacie.

ORLIK (poważnie).

Lat trzy siedziałem w więzieniu, gdzie nie widziałem ni słońca, ni gór moich; przed paru dniami zaledwie potrafiłem wydostać się na wolność, ale w chwili, gdy ujrzałem ukochane turnie i hale już musiałem dalej biedz, czułem się ścigany, trzy dni nic nie jadłem, dobry mołojcu, ulituj się więc i daj mi kawałek chleba, niczego więcej nie żądam, pójdę zaraz dalej, byle trochę sił nabyć ha! żywego mnie więcej nie wezmą, nie pochwyca.

MAKSYM (otwierając torbę, podaje kawał pieczeni, chleb i wódkę).

Jedźcie i pijcie, co dać możemy, a potem

wskażę wam drogę i dalej śmiało, nikt was tu nie schwyci.

ORLIK (przyjmując dary).

O dzięki ci, chłopcze, nie wiem jak ci się odwdzięczyć, ocalasz mi życie, nie znając mnie, wiedząc żem zbój -- opryszek; pozwól więc, iż wzamian choć powrózę; znam ja tę sztukę, wyczytałem ją w tajemnicach naszych Tatr, w czasie nocy, przy świetle gwiazd złotych i w rozmowach z duchami kościelisk.

MAKSYM.

A więc jeżeli wróżbitą jesteś to musisz wiedzieć czy prawda, że jest takie na świecie ziele, jak się go kto napije, to musi pokochać.

ORLIK.

Tak znam to ziele, a więc ty kochasz Maksymie — biada ci — bo jeśli ta o której myślisz ma innego w sercu, to jeżeli ziela twego użyje, wiesz co się zrobi.

MAKSYM

Co?

ORLIK.

To jeszcze bardziej tego innego pokocha.

MAKSYM.

Przepadnij ty z twą radą, umiesz ty źle wróżyć, a poradzić nie potrafisz.

ORLIK.

To słuchaj znam ja inne ziele co w ziemi rośnie, kto się go napije dwa dni i dwie nocy jak pień leży, tego ziela ci dam.

MAKSYM (gwałtownie).

Co ty kraczesz? ja miałbym to uczynić — ja co ona dla mnie świętą.

ORLIK.

Ha więc ty nie opryszek nie syn gór dzikich ale papinkowate dziecko pańskie.

MAKSYM.

Dziecie pańskie, żebym nim był.

ORLIK.

Tak więc nie dziewczka góralska twoim kochaniem — ale musiała cię urzec pańska dziewczica.

MAKSYM.

Chyba że urzekła — niechby mnie pierwsza kula nie minęła, niechbym na polu sobacze życie skończył — jedną ją chcę na świecie — a ta jedna o mnie nie myśli! jabym duszę za nią oddał, sławę

pierwszego opryszka, uciekłbym za nią het od miasta całego, od gór ukochanych — aby tylko z nią żyć, aby przy niej zdychać.

ORLIK.

Ot nie mądra ta twa bladolica — gdzie lepszego jej znajdzie.

MAKSYM.

Spraw ty to, a ja ci garnek dukatów nasypię, a pereł drugo, my tu łupu nie mało zdobyli.

ORLIK.

Ty bogaty, a straszny — imię twe z trwogą wspominają, i na wieczornicach pieśni o tobie nucą.

MAKSYM.

Cóż mi z tego kiedy serce boli.

ORLIK (po chwili).

Słuchaj, tu warczy młyn nie daleko, ja z duchem pobratny co ujrzę w wodzie tej powiem ci, jeno nie wiem czy się co pokaże bo nie zawsze widać.

MAKSYM.

A więc patrz w wodę i mów, a mów prawdę choćbyś ty mnie i nie żywego ujrzał.

ORLIK (staje nad wodą robi tajemnicze znaki po chwili).

Huku! huku! pokaż się. W kole dębowem, w pianie białej, w tumanie jasnym, zły ty czy dobry, pokaż się — (po długiej pauzie z okrzykiem) Widzę!

MAKSYM.

Co widzisz.

ORLIK.

Straszne rzeczy — ale oto i ty jaki siny.

MAKSYM.

A ona, a biała pani!

ORLIK.

Nie widzę jej, przy tobie kobieta ale inna — stary góral.

MAKSYM.

Jak wygląda?

ORLIK.

Nie widzę, stoi, twarz zasłonił rękami — już nic nie pokazuje się; na nowo czyni ruchy tajemnicze nad wodą spływającą z młyna. Huku, huku w kole dębowem, w pianie białej pokaż się.

MAKSYM.

Co więcej?

ORLIK.

Oto i ona śliczna biała, a taka smutna — widzę ją w bieli, na głowie jej spoczywa zielony wianek, a obok postępuje mężczyzna.

MAKSYM.

To ja, poznajesz — mów prędko — mów a nie milcz Orliku.

ORLIK.

Zapomnij o dziewczynie — nie dla ciebie góralka pańskie kochanie — wyrwij z serca swego miłość a widzę na głowie twojej zaszczyty — ty nie umiesz patrzeć i słuchać, uważaj jednak szum wody śpiewa ci pieśń żałbną, pieśń zniszczenia, bracie, usłuchaj rady starego opryszka, i wróżbity — z góralką ty byś inaczej gadał ale tej to cię wstyd boś prostak do niej, ona potrzebuje gładkich słówek, pieszczonych wyznań, ona pani, uczona, dla niej równy jej wychowaniem, nauką biały panicz, ale nie ty wódz dzikich opryszków, ją przeraziłby głos twój, śmiech twój w głębi piersi raziłby słuch jej delikatny, poczekaj raz spróbuje może ta wróżba okaże się pomyślniejszą, a ciebie moja przepowiednia ocali od przyszłych nieszczęść; podajcie

rękę (wyjmuje z torby proszek, sypie na głaz, skrapia wodą ze strumyka i zapala stos ten, szepcząc tajemnicze słowa — po chwili): Tak ty kochasz kobietę — pańskie dziewczę — strzeż się, dla niej ty zginiesz, ona przyczyną twojej śmierci. Słuchaj— patrz — i ja kochałem dziewczynę, kochałem nad życie, a co ona zrobiła? — opryszka, który straszy swym okrzykiem zamki pańskie i wspiera lud biedny. Słuchaj! ja pędzony i ścigany, jak zwierz dziki, nie mam innego dachu nad głową, prócz nieba i gwiazd, innej myśli, prócz piekła w duszy. Ona to zrobiła, ona chciała mieć męża, aby panował na Tatrach całych. Porzuciłem watrę rodzinną i zostałem dla niej opryszkiem. Patrz na te ślady łańcuchów na rękach moich, ona pierwsza mnie zdradziła, ona przeklęta! i ty strzeż się swojej; widzę, widzę ciebie u nóg jej, ty ją kochasz, ubóstwiasz, a ona? ha! taka piękna, słodka, o strzeż jej się, mówię ci, strzeż się dziewczyny; gdy będziesz w niebezpieczeństwie zjawię się raz jeszcze — pamiętaj, Orlik dochowa obietnicy (odchodzi szybko w góry).

GÓRAL 1-szy (wybiega z za skały).

Maksymie! Maksymie! uciekaj, uciekaj, na Boga; słyszysz! gonią nas — hajducy w pobliżu — ścigają, pochwycą w rekruty.

MAKSYM.

Gdzie oni? gdzie reszta — ojciec mój? Salko, żegnam was — żegnam!

SZYMON (wchodzi z gronem górali i Salką, błogosławiąc).

Żegnam cię, synu, Bóg z tobą, o niech cię moc Boska nam powróci (robi krzyż nad głową klęczącego i, płacząc, kryje głowę w dłonie).

SALKA (rzewnie).

O ty, mój ukochany, (płacząc) Maksymie! Maksymie! (opiera się o drzewo i pada zemdlona na ręce towarzyszek, które ją wynoszą).

MAKSYM (żywo do młodych górali).

Tu do mnie, bliżej — uciekamy, topór nam obroną — za mną, bracia (przez czas całej sceny słychać strzały; zrazu oddalone, ku końcowi blizkie; górale grupują się i odchodzą, za nimi widać ogień z strzałów hajduków).

(KURTYNA ZAPADA).

ODŚLONA II.

Scena przedstawia miejsce wśród skał, dzikie i poetyczne; noc ciemna, na niebie widnieją błyskawice i uderzają pioruny, wiatr świszczę; słychać nawoływanie puchaczy; w ubraniu wędrownem postępuje Szymon z kijem w dłoni, krucze włosy w pierwszej odsłonie, teraz zbielały, postać

pochylona, na twarzy widnieje przygnębienie i smutek, idąc wolno przez scenę, staje się urwiskiem głębokiej przepaści.

SZYMON (po chwili).

Tak, nie zbłądziłem, to jest Czarcia Ława, daleką też drogę uszedłem (po chwili opiera się o złom skały i w niemem milczeniu spogląda chwilę w górę; niebo powoli się rozjaśnia, wśród chmur ukazuje się księżyc; Szymon klęka). Boże, chyba syna swego tutaj napotkam (żegna się krzyżem). O jakie pełne zgrozy, a dzikie to miejsce; wszak to tutaj siedlisko wszystkich dusz pokutujących, gdzież teraz iść? powiadają że tu obłąd ludzi chwyta, a kto się raz zabłąka, ten nie może już trafić — i na co mnie staremu tego? (powstaje, wołając głośno) Maksymie! Maksymie! (ogłąda się wokoło). Boże! ludzie prawdę mówili — zbłądziłem (z rozpaczą), oj Maksymie, synu mój, do czegoś ty mnie doprowadził — co mnie teraz począć? (nagle) ale, prawda, znam ich hasło, może mię Bóg wyratuje z tej biedy (wyciąga z za pasa róg góralski i udrza weń — słucha odgłosu z przestrachem; po chwili, patrząc wdal, żegna się, wtem uderza w oddali dźwięk takiegoż hasła), O dzięki Ci, Panie, są więc tutaj (w tej chwili z poza skały ukazuje się w cieniu nocy opryszek).

OPRYSZEK STACH (wołając).

Maksym, Maksym!

SZYMON.

Ja nie Maksym.

OPRYSZEK STACH (gwałtownie).

Ktoś ty? zdrada! (odwodzi kurek, chce strzelać).

SZYMON (poważnie).

Nie strzelaj, ja Szymon — ojciec Maksyma.

OPRYSZEK STACH.

A to witajcie, macie przed sobą Stacha, syna waszego drucha.

SZYMON (z radością).

Bóg z tobą, chłopcze; przyszedłem sam do was i zabłądziłem w tym strasznym jarze.

OPRYSZEK STACH.

Rad wam jestem Szymonie. A Maksym nie tu z wami?

SZYMON (z przestraczem).

Jakto, to on nie tutaj — wy sami?

OPRYSZEK STACH.

A sami. Maksym często nas opuszcza, ale dużo mówić o tem; opowiem wam to przy ogniu i przy reszcie braci (wskazując miejsce) usiądźcie

tu, zaraz ogień rozniecę i towarzyszy pobudzę (wychodzi).

SZYMON (siada podpierając głowę o dłoń w zadumie).

O Boże! więc i tutaj go niema; serce się ściska od żalu i niepokoju; ale oto idą — ha! może się nareszcie czegoś dowiem (opryszki wchodzą jeden łamie gałęzie, drudzy zapalają ognisko — po chwili do obecnych). A więc wszyscy razem, co przed rokiem uszli z rodzinnej watry, przyszedłem ja do was zapytać się dlaczego nie wracacie — słuchajcie chłopcy, w tym sądnym dniu nabrali tylu naszych mołojców, iż wy bezpiecznie do domów swoich powracać możecie, a Maksyma nawet wykupiłem, nie macie się więc bać czego; rok cały minął, a wyście się nie ukazali w rodzinnych zagrodach; oj wiem, że wam smakuje hulanie i swoboda w górach — to rzecz piękna i miła. Ale zkądże was tu tylu? Gdzie Maksym?

OPRYSZEK STACH.

Gdzie Maksym? wam to zaraz opowiem, a teraz wytłomaczę dlaczego nie wracamy. Uciekliśmy z rekrutów — to wiecie, — a tamci wskazują ręką na obecnych), młodzi legini, przystali do nas także ze strachu przed poborcą. Tuśmy się skryli i obrali Maksyma wodzem, a on wodził nas

na Węgry, do Siedmiogrodu i dalej jeszcze, kiedy się uspokoiło z poborem, chcieliśmy wracać, ale cóż, Maksym wówczas nie chciał powrócić, a my jego opuścić nie mamy też siły. Dziw co się z nim dzieje, ciągle smutny, nic do nas prawie nie mówi, czasem tylko idzie z nami na Węgry pobu-
jąc, a potem ucieka w góry i kilka dni go niema. Jak wróci, to zły, straszny, bije nas i przeklina, a potem znów żałuje i przeprasza; kiedy nie mamy co jeść, prowadzi nas na ciągnących tą drogą kup-
ców, nabierze im złota, rozda pomiędzy nas i zno-
wu ucieka w góry. Nam tęskno tu bez ojców i krasawic naszych, ale chcemy być z nim razem, a on odejść nie chce.

SZYMON.

A dla czegoż nie odwiedziliście chociaż swej waty; tam się o was boją, a wy nie pomyślicie o starych ojcach, wraże dity! Widać wolicie cho-
dzić w opryszki, mieszkać z niedźwiedziami i złą siłą po derbach, niż chaty pilnować.

OPRYSZEK 2-gi.

Maksym nie pozwolił zajrzeć nawet do wsi.

SZYMON.

Ha! więc to on wam nie pozwolił, a wszakże tam krasawica jego Salka czeka nań z utęsknie-
niem; powiedzcież chłopcy, gdzie on się znajduje?

OPRYSZEK STACH.

Cóż robić, trudno, trzeba wam opowiedzieć—
wyście to ojciec. Otóż, usposobienie to dziwne
naszego wodza zaczęło nas martwić, więc kiedy
on poszedł raz w góry, wybiegłem w ślad za nim,
aby go zdala obserwować i śledzić; nie wiedział
o tem i biedz począł jak zwykle — o jakże on
pędził szalony! niby dzik lub jeleni ranny — rozbi-
jał gąszcze, przeskakiwał skały, zdawał się być
naprzemian to chmurą, to jaskółką w locie; bie-
głem za nim z całych sił i ledwie nadążyć mogłem.
Maksym tymczasem biegł, biegł przez lasy, derby,
góry, urwiska.

SZYMON (przerywając).

No i gdzież dopadł nareszcie?

OPRYSZEK STACH.

Czekajcie zaraz wam opowiem. Doleciał tak
Czarnego Mnicha, potem szedł brzegiem, aż na-
reszcie wyskoczył na wielką skałę i znikł na jej
szczycie; skoczę i ja za nim, a ledwom stanął na
górze, zgadnijcie com zobaczył?

SZYMON (nagle z przest్రachem).

Mów, nie każ mi zgadywać, cóżżeś zobaczył.

OPRYSZEK STACH.

Oto pałac hrabiowski — wiecie Szymonie za
Czarnym Mnichem — oj wielki tam pan i bogaty.

SZYMON (przerywając).

Wiem, wiem, mów dalej.

OPRYSZEK STACH.

Dziwiłem się po co tu Maksym przybiegł, stanąłem i patrzę z za drzewa na niego; stał jak skamieniały i patrzył na pałac i ogród — i oto co ujrzałem: po ogrodzie przechadza się piękna krasawica z paniczem — a ślicznaż to była dziewczyna, tylko na wieczornicach w dumkach o takich śpiewają, oczy u niej jasne i modre, jak dwie gwiazdy, włosy złote, jak słońko, a biała łaka, jak obłoczek na pogodnem niebie, na licu jej jaśniała tęsknica i zaduma, ale kiedy spojrzała czasem młodemu panu w oczy, to widać było z pod tej tęsknicy taką radość i szczęście, takie rumieńce urocze, jakby o brzasku dnia przez błękitną mgłę przeświecała jasna, rumiana zorza, a i młody pan, z którym dziewczę biegło, piękny to był młójec. Później dowiedziałem się, iż to bogaty ksiązę Jeremi, co poślubić ma wkrótce uroczą hrabiankę Iwonę. Patrząc tak zachwyciłem się młodą dziewczyną i zapomniałem o wszystkim—naraz drgnąłem, usłyszawszy jęk dziwny przed sobą — spoglądam, a tu Maksym rzuca się po ziemi, szarpie włosy i załamuje ręce, nadstawiłem ucha — słyszę przekleństwa, potem modlitwy — zrozumiałem wszystko. Maksym zapatrzył się na piękną Iwonę. Żal

mi się zrobiło naszego leginia, naszego wodza, bo i cóż jemu z tego, co mu z pańskiego kochania? Może tylko ze szczytu skał patrzeć i usychać z miłości, jakby orzeł Tatr naszych, bo prędzej wyschnie Oko Morskie nim on co wyczeka i wyprosi. Tak, Szymonie, dziś wiemy co naszemu leginiowi przytłacza piersi, jak skała — wybaczcie, jeżeli was zmartwił, bo wiem, że ciężko wam tego słuchać, ale przed ojcem godzi się prawdę mówić, może potraficie syna pocieszyć i upamiętać, bo my Maksyma kochamy i chcielibyśmy, aby był znowu, jak dawniej, rad i wesół (w ciągu opowiadania Stacha, Szymon widocznie walczy oddycha ciężko, z boleścią głowę pochyla, wzrok płonie mu niepokojem; przy ostatnich słowach Stacha słysząc zdala potem zbliżka dźwięk rogu — zrywają się wszyscy z radosnym okrzykiem).

Maksym, Maksym — to odgłos jego rogu.

MAKSYM (nagle, wybladły — w stroju opryszka, na widok ojca — z radości okrzykiem).

Ojcze, mój Ojcze! (Szymon stoi z rękami skrzyżowanymi na piersiach, głosem rozkazującym). Chłopcy usuńcie się. (Chwila wachania, na skinienie Maksyma, potwierdzające wolę ojca, górale odchodzą).

SZYMON (nagle kładąc rękę na ramieniu syna).

Wróć do domu, przyszedłem po ciebie.

MAKSYM.

Nie mogę.

SZYMON.

Nie chcesz — i dla czegoż to? cóż cię tu w górach trzyma? wykupiłem cię od wojska, teraz spokojnie w halach; twoja dziewczyna czeka na ciebie, wracaj do domu i bądź porządnym gazdą.

MAKSYM (mięszając się).

Ojcze, ja — zabiłem człowieka, na dolinach mogą mnie złapać, a tu, tu — jestem panem gór i płaszczyny, tu się nikogo nie boję.

SZYMON.

Milcz, tylu innych mieszka spokojnie po wsiach choć nie jedno życie mają na sumieniu, to i ty możesz — wracajże ze mną.

MAKSYM (walcząc).

Nie, o nie, ojcze!

SZYMON.

Nie — mówisz Maksymie. Ja wiem dlaczego nie chcesz wracać, ja ci powiem tam na ciebie czeka Salka, piękna i dobra, czeka na ciebie i tęskni, usycha biedna jak kwiat na górach w jesieni, wygląda na ciebie od roku, każdego dnia, każdej chwili. Ile razy usłyszysz głos rogu z puszczy, my-

śli, że to ty biegniesz; ile razy wieczorem zagra wiatr po skałach zrywa się ze snu i myśli, że ciebie słyszy, modli się za ciebie, czeka i dumy o tobie zawodzi. A ty co? tyś zapomniiał o góralskiej dziewczynie, tyś zapatrzył się na hrabiankę — dzikich gór synu pokochałeś pańską córkę i co tobie z tego przyjdzie, czyś to pan abyś o niej myślał? będziesz patrzył na nią ze skały, a przeklinał potem i zabijał swą duszę i ciało troską i złą myślą, bo się tego doczekasz, że ją panicz do ślubu zawiedzie.

MAKSYM (z okrzykiem rozpaczy).

Nie, nie, nie mówcie tego ojczel!

SZYMON (z uśmiechem goryczy).

Ha! a cóż ty myślisz, że ona będzie czekała na ciebie, gdzie masz rozum Maksymie? Tyś prosty góral, dla ciebie skały, połoniny, trzody — a dla niej państwo; cóż ty chcieć od niej możesz, bądź lepiej rozumny.

MAKSYM (z rozpaczą rosnącą).

Rozumny! rozumny — ha! ja to wiem sam, Bóg mi chyba odjął rozum! mnie i Salki żal, i was i chaty żal, ale ja nie wiem, jam białe dziewczę raz ujrzał i — pokochał.

SZYMON (poważnie),

Wróć do domu, do pługą, do swej dziwczyny — przy niej zapomnisz.

MAKSYM.

Nie zapomnę, nie, o nie! prędzej można świerk wyrwać z korzeniem, niż taką miłość z serca góralowi.

SZYMON.

Maksymie, co się z tobą stało? dawniej byłeś taki rozumny mołojec, ludzie mówili, że masz siwe włosy pod czarnemi, ale dzisiaj tyś oszalał chyba; jak ty masz sumienie dla bogatej pani, co cię nie kocha, zapomnieć swej Salki i pozbawić ojców pociechy na stare lata; chodź ze mną chłopcze, ona nie będzie się gniewać, przebaczy, kocha cię i poślubi (rzewnie). Bóg ci pobłogosławi.

MAKSYM (z rozpaczą i wysiłkiem).

Nie będzie błogosławił, bo ja Salki nie kocham.

SZYMON (nagle).

Hej nie kracz! nie kracz! przyzwyczaisz się i zapomnisz, ale dosyć tego — pożegnaj towarzyszy i druchów i dalej ze mną do watry!

MAKSYM (nieruchomo stoi, walczy — po chwili).

Nie, nie!

SZYMON (gwałtownie).

Nie chcesz się wrócić?

MAKSYM (z wysiłkiem — stanowczo).

Nie mogę, ojcze!

SZYMON (staje, podnosi rękę w górę, głosem grobowym).

Ha! wężu przekłęty! tyś nie mój syn, nie moja krew w tobie płynie... przekleństwo z tobą... precz! precz odemnie... nie czcisz siwych włosów, to bądź przekłęty! zostań — wyrzekam się ciebie; jesteś opryskiem, zbójem, zostań nim, żyj jak zwierze dziki w pustyni... święta ziemia niech cię nie przyjmie, kruki niech rozniosą ciało twoje po górach! przekłęty! nie masz już ojca, a ja... ja... nie.. mam... sy... sy... na (przy ostatnich słowach, wymówionych z rozpaczą, piorun uderza przeciągle, błyskawice rozświetlają scenę, Szymon chwiejnym krokiem wychodzi, Maksym pada na kolana i nieruchomie klęczy, kryjąc twarz w dłoniach; po chwili wbiegają towarzysze, automatycznie podnosi się Maksym i wybiega w przeciwną stronę, w góry).

OPRYSZEK 1-szy.

Hej bracia, co się to dzieje z Maksymem? Stary Szymon huczał i krzyczał, że po całej derbie się rozlegało, potem poleciał, jakby go wilki goniły, i zostawił syna klęczącego, a i ten w tej chwili, jak wbiegamy, poszedł gdzieś, jakby senny; będzie znów parę dni dumać po górach, oj! źle z nim — biedny mołojec.

OPRYSZKI (razem).

Źle, źle.

OPRYSZEK 2-gi.

Pewnie go ojciec chciał zabrać do domu, a on się opierał.

OPRYSZEK STACH.

Wiemy dlaczego się upiera; myśleliśmy, że ojciec go upamięta, ale widać daremnie i on przyszedł; znam ja Maksyma od dziecka, pokochał, to nigdy nie zapomni; ha — myślmij lepiej jakby temu zaradzić.

OPRYSZKI (razem).

Zaradzić? jak?

OPRYSZEK STACH.

Prawda, że niema rady; Maksym będzie ciągle biegał i tęsknił po puszczech, a dla nas to nie

dobrze. Na połoninach pachną kwiaty, biały śnieg przyjdzie zimą, namby trzeba uciekać na Węgry, Siedmiogród, albo Wołosze, jeżeli już nie chcemy wracać do domu, a on ztąd nie ruszy się pewnie. My tu zostać nie możemy stanowczo, śniegi wydałyby nas Niemcom.

OPRYSZEK 2-gi.

Boże uchronaj! lepiej służyć czarownicom na Czarciej ławie, niż im.

OPRYSZEK STACH (nagle, po chwilce milczenia).

Hej bracia, chłopcy, słuchajcie!

OPRYSZEK 1-szy

Cóż takiego?

OPRYSZEK STACH.

Mam radę na nasze troski — słuchajcie. Nie możemy tu wiecznie siedzieć, tylko do śniegów, gdybyśmy wrócili cicho do wsi, to możeby o nas zapomnieli, ale kiedy hulamy w górach, to ciągle o nas myślą i ścigają; trzeba nam więc na Węgry, lub het dalej.

OPRYSZKI (razem).

Tak, dalej.

OPRYSZEK STACH.

Maksym nie opuści hrabianki, a my nie opuścimy go samego.

OPRYSZEK 1-szy.

O nie! żyć nam i umierać z naszym wodzem.

OPRYSZEK STACH.

A więc, porwiemy mu Iwonę, porwiemy z bogatego zamku jej ojców.

OPRYSZEK 1-szy (nagle).

Co, czyś opętany Stachu? (razem wszyscy) to nie możliwe!

OPRYSZEK STACH.

Więc wolicie Niemcom służyć?

OPRYSZEK 1-szy.

Nigdy! na pohybel im!

OPRYSZEK STACH.

A więc uważajcie, ja wcale nie opętany, ani szalony; jak Maksym będzie miał tu piękną dziewczynę, to nie potrzebuje siedzieć w tych górach, z nią i z nami pójdzie wszędzie — ona go tylko



OPRYSZEK 2-gi.

Ha! może i tak — prawdę mówisz Stachu.

OPRYSZEK STACH.

Widzicie bracie. Świerk na górach jak się nie ugnie lekko, to wiatr łamie, albo z korzeniami porywa; my nie możemy spokojnie ulżyć Maksymowi, więc musimy ją porwać i przyprowadzić do derby. Skoro już nie mamy powrócić w doliny, to zróbmy tak, abyśmy mieli wesołego wodza. Maksym, jak ją zobaczy i mieć będzie tutaj w górach — ucieszy się, przestanie tęsknić, a wtenczas nam będzie przyjemnie i wesoło. No cóż bracia?

OPRYSZEK 1-szy.

Mądry z ciebie mołojec! tak będzie najlepiej, jak mówisz! Ej, Stachu, mocnyś ty, jak niedźwiedź, ale i mądry, jak lis — powiedz, jak ją porwiemy?

OPRYSZEK STACH.

Bardzo łatwo; pójdziemy do Czarnego Mni-cha i tam skryjemy się, a potem będziemy upatrywać i czekać sposobnej chwili; jak będzie można, to porwiemy ją spokojnie, a jak nie — to siłą.

OPRYSZKI (razem).

Góralscy legini nie boją się niczego!

OPRYSZEK STACH (energicznie).

A więc chłopcy, gotujcie się do drogi, podsypać panewki i wziąć nowe serdaki i pasy, wystrójmy konie jaknajpiękniej, ukochaną naszego Maksyma trzeba strojnie prowadzić. Gdy słońce ukaże się za górami — wyruszamy a teraz zanucimy wesela śpiew (śpiewają chórem, zasłona spada).

ODSŁONA III.

Scena przedstawia miejsce to, co i w drugiej odsłonie. Noc. Cyganie na urwisku siedzą i grają góralskiego arkasza; opryszki w koło ogniska tańczą śpiewają i z okrzykiem „hu!“ „ha!“ wyrzucają w górę siekiery; na wielkim głazie, owinięta w płaszcz podróżny, siedzi nieruchomie, wodząc przestraszonymi oczyma dokoła, Iwona; po przetańczeniu każdy z górali zbliża się do Iwony: jeden podaje garść kwiatów, drugi stawia podnózek ze starego korzenia i potem znów przy odgłosach muzyki tańczą.

OPRYSZEK STACH (po przetańczeniu, zbliżając się do Iwony, kiedy ta, płacząc, ukrywa twarz w dłonie).

Złota panienko nie płacz, nie płacz, przyjdzie Maksym, to cię rozweseli.

OPRYSZEK 1-szy.

Daj pokój, ona nie taka śmiała, jak nasze mołodyce; to pańskie dziecko, musi wypłakać do

woli, jeszcze się gołąbeczka biała boi, choć to już kilkanaście godzin minęło, jak ją porwaliśmy — Maksym sokół uspokoil ją i pocieszy.

OPRYSZEK 2-gi.

Może jej zimno, wieczór zeszedł, a gwiazdy nie grzeją; okryjcie ją, bo by zziębła, a Maksym na nas by się gniewał.

OPRYSZEK STACH.

Ot, gdzie zimno — tęskno jej, czułem jak się zatrzęsała na moich rękach, kiedy ją panicz gonił i zawołał Iwono! żal jej za nim, ale przy Maksymie zapomni o swoim Jeremim; Maksym piękniejszy i dzielniejszy od niego (odbiega Stach tańczyć, po chwili słyhać odgłos rogu, wszyscy wołają) Maksym! Maksym!

MAKSYM (nagle wołając).

Cóż widzę, śpiewy, okrzyki, tańce — co to znaczy? dotąd smutny jęk wiatru był waszą pieśnią, skakanie przez skały — tańcem wrzask wściekły „Niemcy idą! zastępował wam wesele okrzyk, — co znaczy ta radość? (po chwili) co znaczy ta biała postać, siedząc przy ognisku?

OPRYSZEK STACH (z zapałem).

Maksymie, witaj! witaj nasz sokole! nie będziesz już smutny — patrz druchu cośmy tobie

przyprowadzili — czy wiesz, kto tam siedzi przy ogniu?

MAKSYM (postępuje parę kroków, z okrzykiem przerażenia).

Hrabianka! Iwona! Iwona! (walczy z sobą, Iwona spogląda nań z obawą, po chwili głosem strasznego gniewu do towarzyszy). Ha! łotry, wraże syny! jak śmieliście jej się dotykać, kto was poprowadził, kto pozwolił porywać i straszyć — precz ztąd wszyscy! (Opryszki rozbiegają się. Maksym zmienionym słodkim głosem, klękając u stóp Iwony) Nie bójcie się piękna, biała pani, nie bójcie się złocista hrabianko, nic wam się tu nie stanie, ja was obronię (powstaje).

IWONA (z prośbą w głosie).

Dobry człowieku, ratuj mnie, ocal, po co mnie oni tu porwali, ja chcę wrócić do rodziców, bo zamku (Iwona zrzuca przy ostatnich słowach płaszcz z siebie i, w białej, powłóczystej sukni, klęka przed nim i składa prosząco dłonie). O ulituj się, ulituj nademną.

MAKSYM (walczy chwilę — na stronie).

O Boże, jaka piękna! nie, to nad moje siły (głośno) Wstańcie piękna pani, nie bójcie się, ja, ja — wasz przyjaciel i sługa. — Nie bój się Iwono.

IWONA.

Gdzie jestem — co to znaczy.

MAKSYM.

W bezpiecznem miejscu jesteś hrabianko nie bój się duszo ty moja miła.

IWONA.

Ale czemużście mnie z domu rodzicielskiego wyrwali, czemu mnie prześladowacie.

MAKSYM.

Ja ciebie prześladowę, mój Boże miły!

IWONA.

O ja się was bardzo boję.

MAKSYM.

I czemu się boisz, jeżeli każesz z miejsca tego się nie ruszę — mnie tu nieruchomo siedzieć i w oczy ci patrzeć. Ja ci zła niechcę, co ty mnie nienawidzisz.

IWONA.

Wolę śmierć niż hańbę, i przysięgam, że jeżeli mnie nie uszanujesz to się zabiję choćbym też i duszę zgubić miała.

MAKSYM.

Bądź hrabianko spokojna, tyś dla mnie świętą jak obraz w kościele, jestem zbójem opryskiem to prawda — dla ciebie zapomnę o mojem życiu stanę się innym człowiekiem — popatrzę na ciebie, oczy prasnem liczkęm ucieszę i pójdę.

IWONA (z okrzykiem rozpaczy).

Wróć mi wolność.

MAKSYM.

Albo ty królewno moja w niewoli — ty tu pani i dokąd chcesz wracać.

IWONA.

Mam więc tu więzieniem pozostać, co ja ci uczyniłam, że stałeś się powodem mego nieszczęścia.

MAKSYM.

Co ty mnie uczyniłaś, nie wiem, ale to prawda, że jeżeli ja twojem nieszczęściem to i ty mojem. Gdybym ja ciebie nie pokochał, byłbym ja wolny jak wiatr w polu, i na sercu swobodny i na duszy swobodny — twoje to lica moje nieszczęście, oj dużo ja widział młodych, a nawet pańskich córek ot a żadna z nich nie rzuciła na mnie jako ty uroku. Nie bał się ja nikogo, nie dbał o nic, łup

brałem — i jak król w zamku — tak ja był pośród Tatr ukochanych — a dziś co — siedzę tu — i o dobre u ciebie zebrzę słówko — przez ciebiem ja rozum stracił — ty byś mnie zawiodła gdzie zechcesz — ja bym ci krew swą przelał duszę bym oddał — czemu ty mnie nie pokochasz dzikiego górala — o daruj też, że towarzysze moi ulitowawszy się nad moją dolą, porwali cię, bo ja poprostu był szalony bólem, wyłem jak pies, i śmierci — matki prosiłem żeby mnie zabrała ze świata. Ty chcesz bym ja cię teraz ojcom oddał, bym cię utracił na nowo — gołąbko ty moja, serdeńko ty złociste (po chwili). Żądaj czego chcesz a dam ci, ja dzielny i odważny jak lew pustyni, zamków ci nazdobywam, łupów naznoszę bo choć ja tylko góral dziki i wódz opryszków, na moje skinienie setki mołojców i wszystko sługi twoje a ja prochem najniższym byleś została tylko i pokochała mnie.

IWONA (dumnie a stanowczo).

Jeśli żądasz mej odpowiedzi — to wiedz iż choćbym miała wiek cały w twej niewoli przejąć, nigdy, nigdy cię nie pokocham tak mi Boże dopomóż.

MAKSYM.

Nie mów mi takich rzeczy—bo ja oszaleję.

IWONA.

A ty mi o swem kochaniu nie wspominaj, bo mi od niego wstyd, gniew i obraza — ja nie dla ciebie nieszczęsny.

MAKSYM.

Tak ty nie dla mnie — a któż wierniejszy przyjaciel twój — któż bardziej oddany tobie dziewczeczko.

IWONA.

Kto porywa mnie by dać hańbę i niewolę, ten mój wróg nie przyjaciel.

MAKSYM (gwałtownie).

Musisz być moją.

IWONA.

Nigdy wolę śmierć.

MAKSYM.

Musisz i będziesz.

IWONA.

Nigdy.

MAKSYM.

Hardaś mości panno — ale potem com usłyszał pchnąłbym moich mołojców dziś jeszcze

niechby porwali mnicha za łeb i tu przyprowadzili, a jutro jużby ja był twój mąż. Ha, a męża nie kochać grzech to, ty pani jaśnie wielmożna tobie miłość góralska obraza i gniew—ja dla ciebie chłop prosty—ale tyś branką moją, łupem zdobytym, mam prawo więc i bez księdza nasycić się twą krasą—ha! ale ja cię zanadto ubóstwiam tyś mi za świętą więc tego nie uczynię—ksiądz połączy nas i koniec—(ze wzrastającym uniesieniem). Ja wiem czemu tobie obraza, czemu ty mi odporna. Dla innego chowasz swój wianek—ale nic z tego—jakom żyw, jakom góral. Szlacheckie paniątko, ledwie w tańcu rękę twoją uściskał, ledwo spojrział w tve oczy, już cię całą wziął— a ty opryszku cierp i męcz twą duszę. Ha! ale ja tego hołubka odszukam—choćby pod ziemią, a jak wrócę, to ci głowę jego u stóp twych rzucę.

Iwona (przed ostatnimi słowami zemdlona usuwa się), z rozpaczą zbliża się Maksym, zaczyna ją cucić, zrazu daremnie po chwili jakby ze snu głębokiego budzi się.

MAKSYM (w czasie cucenia z namiętnością rozpaczy).

Ratujcie! ratujcie! zabiłem ją!... duszo, ty moja! światło, ty moje! (po przebudzeniu Iwony) Złocista hrabianko, wybacz! przelękły cię słowa moje gołąbeczko biała, ale nie bój się dziecino! z głowy włosów ci nie spadnie; dziki góral opryszek, potrafi kochać

i poświęcać się dla tej miłości!—nie pamiętaj słów moich, mówiłem jak zwierz dziki, jak szalenciec—rozkazuj, a uczynię, co zechcesz!

IWONA (osłabionym głosem prosząco).

Puść mnie do domu! daj wolność, a modląc się, prosić będę o szczęście dla ciebie!

MAKSYM (z wybuchem).

Ty, dla mnie! — niech się więc stanie! — nie mnie zaznać co szczęście!—nie dziki opryszek, zdobywa serce anioła! Ale, kto wie, może głęboką ofiarą potrafię zyskać chociażby życzliwą pamięć, potrafię oddawszy ci wolność, uczynić cię szczęśliwą!—tak—ty dziewczeczko, musisz być szczęśliwą!—twe usta stworzone do uśmiechów!—radości!—tobie życie, zbytków!—cieplarnianych kwiatów!—a mnie, nędza! głód! zimno!... — nie bój się, Iwono! — dzik Maksym pokaże, że i on ma serce!—serce gotowe, do poświęceń! (chwila walki wewnętrznej, zakrywa twarz rękami—nagle wyjmuje róg myśliwski i uderza weń—wchodzą towarzysze, do nich rozkazująco). Hej, bracia! osiodłać mego konia, a wygodnie! — ubrać go w ormiańskie jedwabie!—dla białej hrabianki—rozumiecie? odprowadzę ją ojcom; wy idźcie na skały Czarnego Mnicha, tam mnie czekajcie; jutro nocą przybędę, w wasze ramiona! (opryszki odchodzą, Maksym czule do Iwony) Słonko już

dawno poszło za góry, puszcza smutno za nimi szumi i wy, lwono, odchodzicie?—a ja, smutno za wami zawodzę. Nie śmieście się biała pani, ze mnie! Ja wiem, że prosty góral! — a wy, pańska córka! — ja wiem to, ale kiedym was pierwszy raz zobaczył, straciłem rozum i zapomniałem o wszystkim! — patrzyłem na was, jak na święty obraz, w kościele!—ach! czemuż wtenczas nie oślepił mnie, Pan Bóg na wieki! Pierwej byłem wolny, jak wiatr na Łomnicy!—a teraz, ciągle i ciągle do was zwracam!—ku wam spoglądać muszę!—jak ten kwiat na połoninie co ciągle ku słońcu się przechyla. Sam Bóg zna tylko moją tęsknicę, moje skargi w ciszy i pustyni nocy; nim jeszcze moi druchowie was porwali, ja chciałem to zrobić! — ale i pocóż? — wyście dobrzy i piękni jakby anioł, panowie waszemi ojcami, wyście wychowani w bogactwie i uczeni! A ja co? — góral! opryszek!—wódz zbiegów, od żołnierzy! Cóżbyście wy, pani, robili w tych górach i borach, gdzie zamiast puchu, głąz pod głową, zamiast złoconych komnat—dzikie granity?—cobyście poczęli w góralskim szałasie, gdzie zamiast woni kosztownych—dym z ognia? Ja byłbym ciężarem i troską w waszem życiu! tak jak ten posępny głąz, co tamuje bieg jasnego, potoku! Ja o tem wszystkim myślałem, ale cóż—wy nie wie-rzycie, albo nie wiecie, co to miłość dzikiego górala! Prędzej wodospad do góry się zwróci, prę-

dziej Mnich Czarny spadnie z pod gwiazd na dół, zanim ja was zapomnę! Ja tak pokochałem cię, Iwono! — cóż mi z tego! — zaprowadzę was znów ojcom i będziecie szczęśliwi!—a ja?!

IWONA (przerywając, rzewnie).

Bóg ci to wynagrodzi, rodzice moi będą błogosławić, kiedy wrócisz im spokój na stare lata (po chwili). Ale powiedz, czy daleko z tąd do zamku moich ojców?

MAKSYM (z wyrzutem).

Czy daleko? och, Iwono! wam czas się dłuży, a ja bym chciał, aby ta chwila nigdy się nie skończyła! Wy odbiegacie, a nim ten miesiąc wyjdzie do połowy nieba zobaczycie swój zamek, swych ojców, swego sokoła!—ha! wy jego kochacie! i on was kocha!—i on was nie opuści!—a ja! ja dla was porzuciłem moją Salkę, choć ona za mnie życie by dała! ja dla was nią pogardziłem, ojciec stary przeklął mnie za to i wyrzekł się!—a wiecie wy, co to znaczy u nas przekleństwo ojca? (strasznym głosem, pełnym rozpacz) wiecie, co to przekleństwo rodziców znaczy? ludzie odwracają się od przeklętego, jak od węża! Musi rzucić chatę!—nie ma dachu innego nad głową, jak gwiazdy! — innego mieszkania, jak skały!—musi być tułaczem pogardzonym!—bez rodziny, bez krewnych! Musi umierać jak pies na pastwę, krukowi i sępom!—hej! oto moja dola—i to dla was—dla was, Iwono!

IWONA (nagle).

Uspokój się, Maksymie!—wrócisz do domu!...
ojciec i twoja Salka przebaczy ci pewno!

MAKSYM.

Nie przebaczą, nie! a choćby i przebaczyli,
to ja już nie dla Salki!—ja jej nie Kocham—i ko-
chać nigdy nie będę! (słychać za skałą jęk cichy
długi, kobiecy).

IWONA (nagle).

Maksymie! — słyszysz? co to? ktoś tu jest!...
O, Boże! (chwytą go za ramię—słychać piorun).

ORLIK WRÓŻBITA (wchodzi wolno z przeciwnej
strony, kładzie rękę na ramieniu Maksyma).

Maksymie! przepowiedziałem ci — w chwili
niebezpieczeństwa spotkamy się—przybyłem na czas.

MAKSYM.

Nie przepowiadaj mi! nieszczęsny Orliku —
ocal jeżeli możesz, a zdołam ci się odwdzięczyć!—
słuchaj: sześć watek dymu w moich halach, dziesięć
pługów orze moje pola, sześciu barów i czterdziestu
juchasów pasie moje owce; podzielę się z tobą tem
wszystkiem, otoczę cię staraniem i opieką na se-
dziwe lata, a uczyni, uczyni czarodziejską siłą, aby
mnie pokochała Iwona.

ORLIK WRÓŻBITA.

Przestań Maksymie, przestań! kochać cię ona nie będzie; spłaciłem dług wdzięczności—ostrzegam cię; nie dla mnie już spokojna chata i watra rodzinna, nie dla mnie płóg ojców; przywykłem już do gór mych, niebo moim dachem turnia—najmilszem łóżem, światła gwiazd—towarzyszkami dumań, pustynia—ukochaną mi ojczyzną; w niej z poświs-tem halnego wiatru, ślę pieśń o tęsknocie i pokoju, o swojej wolności dzikiej, tak jak dzikiem jest moje życie; podaj mi tylko, bracie, dłoń swą na pożegnanie i pamiętaj przestrogi; poraz ostatni powiadam: strzeż się dziewczyny strzeż się, bo przez nią widzę twą zgubę, widzę twą śmierć! (odchodzi, w niemem milczeniu, stoi Maksym i Iwona).

MAKSYM (powtarza machinalnie).

Twą śmierć — to i lepiej umrzeć, a nie cierpieć!—patrz Iwono jak te chmury ciągną się po niebie czarne, burzliwe, jedna gwiazda jeszcze przez nie prześwieca! to dla mnie one ciągną! na moje życie, na moją dolę! to wy, pani, tą gwiazdką, to wy mi nie długo znikniecie! Wy wróćcie do ojców, panicz was wesoło powita, zabierze, i tam w wiejskim kościele, wśród jarzących światła, wśród złota, panów, wśród głosu dzwonów, śpiewu i kazideł powiedzie do ołtarza! ksiądz mu powie, żeś ty jego, Iwono! jego mołodycą!—a mnie, co zosta-

nie? — ja wrócę w moje góry; wicher i piorun zachuczy mi, zamiast organów — błyskawice, zamiast świateł! — szum puszczy każdego wieczoru będzie mi przypominał dzisiejszą noc, a wieczna tęsknica będzie moim życiem! (po chwili — słyhać grzmot i widać światło błyskawic) Słyszysz Iwono? piorun huczy, a głos jego płynie przez lasy, góry, w dal do innego morza! O pani! gdybym ja mógł tak z wam lecieć z wichru huraganem w zawody na koniec ziemi, na koniec świata!—Pani moja—dzieweczko złota!... — czemuż nas Pan Bóg tak daleko od siebie postawił? — wy dalej jeszcze odemnie, jak źródło nasze od dalekiego morza; ale spieszmy się;—was ciągnie do domu, do ojców, do—niego!... a mnie, nic—nic już nie ciągnie! Konie niebawem nadejdą;—jeżeli chcecie—jedźcie sami! — a jak nie, to ja was kawałek odprowadzę;—ha! kto wie, może lepiej będzie, jak sami wrócicie do zamku!—ja, ja nie mam sił wam towarzyszyć!

IWONA (nagle).

Nie, tak się nie rozstaniemy!—chodź ze mną!—rodzice cię wynagrodzą, i błogosławić ci będą!

MAKSYM (dumnie).

Iwono!—ja nagrody, nie pragnę!—a błogosławieństwa już mi nie trzeba! (wskazuje w oddali towarzyszy) Patrz, piękna pani!—oto wierzchowiec

twój gotów; — jedź, sama! Stach ci wskaże drogę nie ujrzysz już mnie nigdy — nie zobaczymy się więcej! Iwono! — jedźcie, i żyćcie szczęśliwi! — czasem tylko, jak spoglądać będziecie w góry, przypomnijcie sobie, dzikiego górala — Maksyma! (ujmuje dłoń jej i całuje z uczuciem) a teraz bądźcie zdrowi, szczęśliwi!

IWONA (ze łzami w głosie, chwyta nóż strzelecki Maksyma i nim ucina splot swych włosów, podając je góralowi).

Nie mam ci dać żadnej pamiątki, weź więc chociaż splot ten z mojego warkocza; a niech cię Bóg obdarzy szczęściem i stokrotnie za łaskę mi uczynioną wynagrodzi. Bądź zdrow, żegnaj zacny Maksymie! (odchodzi).

MAKSYM (w uniesieniu chwyta splot włosów i całuje go, po chwili—sam).

Ha! więc nie ma co myśleć dłużej, potrzeba raz skończyć;—żyć tak ciężko, ani mi powrócić do rodzinnej chaty, ani pozostać z niemi, walka ta jest mi zbyt męczącą i przykrą; Salki nie kocham, a ta, a Iwona, nie dla mnie; cóż mi na jutro pozostaje? śmierć! rodzicom, Salce lżej będzie bezemnie; a ta nie dowie się nawet, nie zapłacze za biednym opryskiem; — ha! i na cóż żyć! żeby ludziom ciężyć i sobie! lepiej raz zakończyć bezcelową wę-

drówkę! staje zadumany nad rzeką, po chwili z okrzykiem) dla ciebie, Iwono! Iwono! (pada w rzekę, topi się, słycać plusk ciała, z okrzykiem rozpaczy wbiega Salka, potem ze śmiechem obłąkanej staje nad przepaścią).

OPRYSZKI (wbiegają, ujrawszy pochyloną nad rzeką Salkę—do niej.

Salko, co robisz w lesie? u nas w nocy, co z tobą, z kądżeś to?

SALKA (obłąkana).

Cha, cha, cha! z kąd ja tu? z gór—z dworu—zdaleka—Maksyma, sokoła mego czekam! (klaszcze w dłonie).

OPRYSZEK 2-gi.

Salko, czego się tak śmiejesz, co tobie?

SALKA (z okrzykiem, patrząc błędnie przed siebie).

Maksym! Maksym! — gdzie lecisz? oczy ci świecą tak strasznie, nie skacz tam—trzymajcie go! cha! cha! (wybucha znowu dzikim śmiechem).

OPRYSZEK 2-gi (do pierwszego).

Boże, rozum jej odjęło!... (chwyta ręce Salki) dziewczyno, co ci się stało—gdzie Maksym?

SALKA (nieprzytomnie).

Tam, tam; — idzie, przebywa mój sokoł; cha! cha! czekajcie ja mu zaśpiewam, on tak lubi tę dumkę (śpiewa, piosnkę rzewną gorałską).

OPRYSZEK 1-szy (nagle):

Salko, daj pokój śpiewowi, mów nam o Maksymie;—widziałaś go?

Widziałam! cha! cha! cha! przybywa do mnie; on mnie kocha—porzucił tamtą.

OPRYSZCK 2-gi.

Mów zaraz, gdzie Maksym?

SALKA.

Gdzie? a co wam do niego; on mój cha! cha!... tak długo chodziłam za nim po górach, nareszcie spotkałam, żegnał on piękną białą panią, ale jej nie kochał; tak, nie kochał, wiedziałam o tem—nie wierzyłam Szymonowi — porzucił ją... ona odeszła sama... Maksym mój, pobiegł mnie szukać; (z obłędem wskazując ręką) he! Maksym! nie skacz, nie skacz—tam zimno... głęboko...—ja tu!

OPRYSZEK 1-szy (nagle).

I cóż? mów, mów!

SALKA.

Maksym! Maksym! gdzie ty, gdzie ty? ach widzę, widzę go znowu! przybywa do swej Salki! leci,

płynie! tam...—patrzcie, jaki piękny! biały, woda go pieści, fala go muska, srebrne rybki całują go po licu—cha! cha! witaj mój złoty sokole! — prędeż, prędeż!

OPRYSZKI (razem z rozpaczą).

Boże! Boże! więc on nie żyje!

SALKA (nie zwracając uwagi z obłąkaniem chwytając garść kwiatków i rzuca je).

Kwiatków nazbierałam dużo, trzeba mi się spieszyć, mnie tam on czeka — czeka! Maksymie! Maksymie, czekaj ukochany! — o! jak głęboko, ciemno... — cha! (wpada i topi się, słysząc plusk ciała, przeciągły głos grzmotu i błyskawic oświeca scenę).

OPRYSZEK.

Ha! straszny to dzień! uchodźmy z tąd! — uchodźmy bracia!

KONIEC AKTU OSTATNIEGO.



Wanda Grot-Bęczkowska.

ZE WSPOMNIEŃ MARCINA PIĄTKA.



WARSZAWA
Nakład „Tygodnika Polskiego“

1904

— Pójdiesz na Wiejską do drukarni—rzekła pewnego dnia matka. — Czas ci już zarabiać na siebie.

Skoczyłem matce do kolan.

— Ja? Do drukarni! Matuś złocista!

— Czego wrzeszczysz? Cóż wielkiego! Trzy ruble na miesiąc toć nic nadzwyczajnego. Butów też za tyle zedrzesz.

Mnie tam akurat o buty lub o zapłatę chodziło! Do drukarni! Mój Boże, jakem ja zawsze Walkowi zazdrościł! Teraz i ją będę nosił papiery do panów, co takie śliczne rzeczy w książkach piszą.

— Dostałam od pani doktorowej czarną bluzę dla ciebie po tym średnim paniczu — dodała jeszcze matka.—Oblecz czystą koszulę i umyj się...

— Żeby jaki kołnierzyk... — odezwałem się nieśmiało—i skrawek pod szyję—dokończyłem jeszcze ciszej.

— Głupiś! Byle chędogo, to i dosyc. Na chleb niema, a temu się kołnierzyków zachciewa.

Westchnąłem sobie, bom nieraz, patrząc na Walka, krawata i kołnierzyka mu zazdrościł. Zawsze miał sztywny, stojący wysoko, a krawat niebieski w grochy, albo czerwony w kratki. Śliczności!

W kwadrans potem byłem gotów. Już nie biegłem, jak zwyczajnie, lecz szedłem z powagą. Duma mię rozpierała. Dopiero na Wiejskiej strach mnie obleciał. Przeżegnałem się. Przyjmą, czy nie—spróbować trzeba. Wszedłem.

— Cóż ty umiesz? — spytał pan zarządzający, szczypiąc mię w policzek.

— Czytać, pisać i cztery działania arytmetyczne — odpowiedziałem śmiało, bom w przedpokoju kilku takich jak ja smyków zoczył, i to mi odwagi dodało.

— A urwisować się potrafisz? co?

Milczałem.

— Twoje szczęście, że kłamać nie umiesz — rzekł.—Gdybyś się był zapierał, przysięgał, byłbyś poszedł z kwitkiem. No, przyjdź jutro o siódmej zrana do roboty.

Pocałowałem go w rękę i umknąłem. Ogłupiała mnie radość, i chciałem z nią jak najprędzej sam pozostać. Dobiegłem hen, ku rogatkom Mokotowskim, i teraz to już pewny byłem, że wszyscy

na mnie inaczej patrzą. Koło Pięknej spotkałem Walka. Niósł papiery pod pachą i udawał, że mnie nie widzi. Wargi miał wydęte, jakby jaki naczelnik od kolei, i minę siarczystą. Szturgnąłem go w łokieć.

— Cóż ty tak minujesz, Walek?—spytałem.— Nosa do góry zadzieraszą, że ci go jeszcze wróble podziobią. Zobaczysz!

— Głupiś!—syknął.— Ruszaj precz! Do cenzora z numerem idę. Rozumiesz?

— Rozumiem — odparłem z dumą. Może się tam kiedy spotkamy!

Spojrzał na mnie z pogardą, prychnął śliną i uciekł.

Gdyby to nie było na ulicy, dałbym ja mu! W jednej kamienicy przecie mieszkaliśmy, i do ochrony ze mną chodził, a teraz taki pan!

„Skiśniesz ty jutro ze złości — myślę sobie — gdy się o drukarni dowiesz.“

Wróciłem do domu. Matka miseczkę kartofli z kawałkami mięsa postawiła przedemną. Czego tam nie było! Ogryziona do połowy łapa zajęcza, okrawki szynki, kawałek pieczeni cielęcej, połówka wołowego kotleta i t. p.

— Jedz!—wyrzekła matka.—Smaczne. Ludzie sobie nie żałują. Ile ta kucharka u adwokata mała dzisiaj do obiadu wzięła!... Żeby nie jej bębny,

byłabym więcej z talerzów pozbierała; każda z nich dla swojego ciągnie.

Nie wiem dlaczego, położyłem łyżkę. Głodny byłem, a nic mię do tych przysmaków, spadłych od czyichś gąb, nie ciągnęło. Byłbym wolał kawałek razowego chleba i upomniałem się o niego matce. Nie dała; poszedłem głodny spać.

Nazajutrz od szóstej rano czekałem przed drukarnią. Otworzyli nareszcie. Nie wiedziałem, co z sobą począć, gdzie się obrócić.

— Tnij gapia, gamoniu! — krzyknął mi jakiś nad uchem, poczęstował kułakiem, i poleciał dalej.

Zawstydziłem się i zobaczywszy drzwi niedomknięte, wszedłem.

Pusto. Kilka stołków drewnianych pod ścianą, stół, karafka z wodą i nic więcej. Na środku izby, na podłodze, kupa śmieci i porzucona szczotka. Ktoś widać zaczął zamiatać i nie skończył. Podjąłem szczotkę. Czy ja, czy kto inny, zawsze zamieść trzeba.

— Jest tam który?—zawołał jakiś pan, stanąwszy we drzwiach.

Nogi się podemną zatrzęsły,

— Gdzie Antek? Antek, nicponiu, choć mi tu zaraz! To smyki dopiero! Ani jednego niema. Coś ty za jeden? — krzyknął na mnie.

— Marcin Piątek—odparłem, stawiając szczotkę w kącie.

— Nowy?

Tak, proszę pana.

— To pewno Antek kazał ci zamiatać, a sam gdzie w sieni ćmi papierosy — pytał, przyglądając mi się bacznie.

— Nikt mi nie kazał, proszę pana — mówię już śmielej.—Leżały śmiecie na podłodze, wziąłem i zamiotłem.

— Aha! Dobrze. Więc ty Piątek się nazywasz? Musisz posty lubić, co?

Poklepał mię po twarzy, śmiejąc się.

— Masz ochotę do drukarni, co?

— Mam — wykrzyknąłem gorąco.

— To pójźże ze mną. Powiem ci, co masz robić. Tego szelmę Antka wyrzucę. Próżniak, urwis do niczego.

Zwrócił się do drugiego pana, który akuratnie wszedł i powiada:

— Piątka ja dla siebie biorę.

Tamten głową kiwnął, i od tej chwili zaczęły się moje obowiązki w drukarni.

Ten pan, który ze mną mówił, to był zecer i nazywał się p. Dulski; on się zaraz od początku mną zaopiekował. Posyłał mię po rękopisy, do cenzury, biegałem po różnych redakcyach. Przynosiłem także panu zecerowi świeże serdelki od Rydla na drugie śniadanie, i chodziłem często z listami do jednej panienki, co ze ślepym ojcem przy Be-

dnarskiej mieszkała, szyciem się trudniąc. Te wycieczki zawsze mi się opłacały. Trojaczki wpuszczałem do skarbonki, gruszkę lub bułkę oddawałem matce. Pana Dulskiego pokochałem od razu. Krzyknął, fuknął — to prawda; ale go gniew prędko opuszczał. Za to kiedy był w dobrym humorze uszy mi się czerwieniły, jak raki: co raz to mi które ze zbytków wykręcił.

— Kpem jesteś—mówił—ale może być z ciebie człowiek.

— Niby jak? proszę pana — pytałem chciwie, bo mi się okrutnie chciało z kpa człowiekiem zostać.

— Jak? Ty się, smyku, nie pytaj, jeno pracuj, a pocziwie żyj, to i dosyć.

Potem słyszałem, jak mówił do p. Grabowskiego, drugiego zecera: „Nic mu się do ręki nie przylepi, żebym nie wiem co położył. Jużem go nieraz wypróbował“.

Mój Boże! jakby to już każdy biedak złodziejem musiał być! Niech sobie kładzie co chce i próbuje: na świństwie mię żadnem nie złapie.

I posyłał mnie nieraz do panów wydawców, albo redaktorów z karteczką, o zaliczkę czy należność prosząc, albo do sklepu po papierosy i inne rzeczy, i nawet reszty, gdym mu oddawał, rachować nie chciał.

— Tyś lepszy rachmistrz, niż ja — żartował, zgarniając pieniądze.

Koledzy patrzali na mnie z zazdrością, trącając się łokciami. Wacek, że to był między nami najstarszy, powiedział mi raz w oczy: „Lizus“. Palnąłem go pod żebro kulakiem, aż stęknął. Bo przecie ja się nie prosiłem p. Dulskiego, żeby mnie chwalił.

Wacek to jest szczęśliwy chłop dopiero! Ojciec jego służy w redakcji za woźnego i nawet samemu panu redaktorowi posługuje. Wacek powiada, że p. redaktor całe cztery szafy książkami ma zapchane, a gazety po wszystkich kątach leżą. Wacek je zbiera i potem handlarzowi sprzedaje. Ja bym nie sprzedawał, bo co to tam różności w tych gazetach napisane! Ja choć dostanę kiedy jaką gazetkę i do domu przyniosę, jużci matka zaraz w desenie powycina i dalejże półki obwieszać. Na płacz mi się wtedy zbiera, ale cóż! Matka! Co chce, to robi. Proszę Boga, żebym jak najprędzej dorósł, tobym już matce nie pozwolił swoich gazet ruszać. Cóż, kiedy mam dopiero dwanaście lat! Ale rękopisy to już wybornie czytać umiem, chociaż ci panowie literaci bazgrzą nieraz aż strach! O jak się też p. Dulski wtedy złości! Potem o byle co mnie wały sypie. Wszystko się znosi i całuje rękę, która bije; lepszego nad p. Dulskiego ze świecą by szukać. I panna Kazimiera, ta panienska

z Bednarskiej, do której listy noszę, to samo mówi. Zdaje mi się, że p. Dulski ma ochotę z nią się żenić. Dobrze byłoby! Tacy poczciwi oboje! Pan Dulski i na matkę pracuje, i na braci małych, i na siostrę... Mój Boże, jak też to niejednemu ciężko!... Dni tak lecą, jakby je kto kijem poganiał.

Już dziewiąty miesiąc jestem w drukarni. Pan Dulski, że jestem pracowity i posłuszny, prosił pana zarządzającego, żeby mi pensję na pięć rubli podwyższyli. Zgodził się. Matka się bardzo ucieszyła. W skarbonce też się znalazło nieco grosza. Wsy pywałem tam miedziaki, które od panów literatów dostawałem, bo nigdy żaden na czas nie napisał, i po dziesięć razy trzeba było chodzić, albo siedzieć w przedpokoju godzinę i więcej. Z początku nie chciałem brać; wstydziłem się... Ale matka i p. Dulski powiedzieli, że można, bo przecie butów nie mało zedrę, tyle razy chodząc.

Z matką tośmy się raz okropnie posprzeczali. Było to w niedzielę. Wróciła z posługi, i dalejże przedemną różne przysmaki zastawiać.

— Tę leguminę dziś u doktora jedli—opowiadała.—Biskoptowa się nazywa. Chciałam ci i soku wziąć, ale kucharka wylizała z talerzów. A tu masz kawałtko jendyka. Winogron trochę w koszyczku zostało, i wzięłam. Żeby była kucharka zobaczyła, oho! Dziamnęłaby z pewnością. Takie te sługi chciwe!

Nie ruszyłem ani leguminy, ani indyka, ani winogron. Twarz mię tak paliła, jakbym policzki w ogień włożył.

— Proszę matki—rzekłem — wołałbym kaszy czy kapusty zjeść, aniżeli te przysmaki z cudzego stołu. Dobrze dla psów. Pracujemy oboje, tośmy na łyżkę strawy zarobić powinni. Mnie już oddawna w gardle to jedzenie dławi.

A matka jak nie zacznie: „Ty smarkulu, ty niegodziwcze, będziesz mi tu przebrzydzał!“

Ledwom matce wytłómaczył, że tu nie o przebrzydanie chodzi. I dobrze zrobił, bo oto co się w parę tygodni potem stało.

Walek, ten, co w naszej kamienicy mieszkał i wiedział, że się moja matka posługami zajmuje, poznał się z Wackiem. Może przez ciekawość, albo może i przez złość, bo zawsze ze mną koty darł, przyszedł do naszej drukarni. Wałęsaliśmy się wszyscy w sieni, nie mając nic pilnego do roboty. Walek, spostrzegłszy mnie, nosa do góry zadarł i woła:

— Jak się masz, pomywaku!

Zaczerwieniłem się; chłopcy w śmiech.

— Dlaczegoż go pomywakiem nazywasz? — zapytał Wacek.

— Bo zmywa z matką talerze po pańskich gębach. On ścierką, on językiem.

Tamci w śmiech. Mnie krew do głowy buchnęła. Byłbym wolał się w ziemię zapaść. „Rznię go w papę!”—myślę sobie, i dłonie tak mi zaświerzybiały, że tylko bić. Cóż, kiedy prawdę powiedział?— a pan Dulski mówi zawsze, jako człowiek w każdej okoliczności nie gniewem, lecz sprawiedliwością kierować się powinien.

Więc nic nie rzekłem, tylko odszedłem w kąć, i łzy mi się z oczu puściły.

— Piątek, po rękopis na Erywańską!—zawołał p. Dulski. — Wpadnij do mnie po kartkę.

Musiałem pójść, choć z rozmazaną gębą.

— Głupiś, że się mazgaisz — rzekł, gładząc mię po głowie. — Tam, gdzie ty zajdziesz, Walek nie dojedzie. Ja ci to mówię, uważasz?

— Pan słyszał?—szepnąłem zawstydzony.

— Słyszałem. Głupstwo! Słuchaj no, Marcinie, przychodź do mnie we czwartki, soboty i niedziele. Rozumiesz? Zaraz po zamknięciu drukarni.

— Dobrze, proszę pana — odpowiedziałem, i opanowała mię ciekawość: czego też p. Dulski może chcieć odemnie.

Doczekałem się wreszcie czwartku. Wyszedłszy z drukarni, wpadłem do domu, umyłem się, wyczyściłem pięknie buty i kurtę, a choć mi matka rynkę kaszy ze słoniną podstawiła, nie tknąłem nic i w nogi.

P. Dulski mieszkał przy ulicy Hożej; gdym do drzwi zadzwonił, serce mi prawie głośno kołatało.

— Będiesz się uczył razem z moimi braćmi— rzekł p. Dulski, gdym w pokoju przy drzwiach pokornie stanął.

Wskazał mi dwóch chłopców, siedzących przy stole.

— To Adaś, a tamten Franek. Może i ty będziesz się uczyła, Ludko?

Zwrócił się do ślicznej panienki, która z wielkiem zajęciem szyla dla lalki suknię. Spojrzała na mnie, uśmiechnęła się i kiwnęła główką. Nie wiem dlaczego, alem się ucieszył, że zgodziła się uczyć razem z nami.

Tymczasem p. Dulski mówi do mnie:

— Pojętny jesteś, i szkoda, byś się zmarnował. Rozumiesz?

— Rozumiem, proszę pana—odrzekłem i czuję, że mnie coś za gardło złapało i dusi.

Ani rusz słowa więcej wymówić. Gdyby nie to, że panicze i panienka patrzali na mnie, byłbym się w głos rozbeczał. Uczyć się! Mój Boże, czy już może być większe szczęście na ziemi?... Niczem mi zabawa, niczem wszystko inne! I czym ja się spodziewałem!... Nie zazdrościłem już Wackowi, ani nikomu. I ja będę miał książki, i ja się będę uczył. Tylko matka musi już teraz gazety moje szanować. Kupię chyba zielonego, albo różowego

papieru, i niech sobie półki stroi. Wczoraj mi się na płacz zbierało, jakem kuferek wyłożony „Gazetą Polską“ zobaczył.

Matka jest dobra, bardzo dobra, ale ma swój upór, o, ma!

I z kołnierzykami też miałem kłopotu niemało. Coś sobie matka do nich upatrzyła. A to było tak:

W imieniny panny Kazimiery p. Dulski mówi do mnie:

— Marcin, ruszaj żywo na Bednarską. Oddasz pannie Łabędzkiej list i te dwie doniczki. Uważaj, abyś kwiatów nie pogniótł.

Wsadził mi w rękę owinięte w bibułkę białą dwie doniczki hyacyntów, i poszedłem. Odgadłem zaraz, że to imieniny, i idąc, myślę, cobym też ja od siebie pannie Kazimierze ofiarował. Na Krakowskim, już koło Fajansa, patrzę: stoi baba z fijołkami. Ażem się do nich roześmiał, tak w porę przyszły.

— Ile za bukiecik? — pytam.

— Pięć kopiejek.

Wziąłem dwa, zapłaciłem, i dalejże na Bednarską. Anim pomyślał, że te fijołki obiad mój i kolację zjadły. Panna Kazimiera odebrała list i hyacynty, a była przytem taka czerwona, jak najczerwieńsza wiśnia.

— Dobrze — mówię sobie — kontenta.

Więc dopiero moje fijołki jej podaję, życząc zdrowia i pomyślności, a po cichu pana Dulskiego za męża. Chyba się więcej jeszcze ucieszyła z fijołków, niżeli z hyacyntów.

— Jakiś ty poczciwy, Marcinku!—mówi, i widziałem wyraźnie, że ma łzy w oczach.

Taka już dobra! Bo cóż tam fijołki, głupstwo!

— Marcinku — odzywa się potem do mnie— uszyłam ci pół tuzina kołnierzyków stojących. Przydadzą ci się, prawda?

Kołnierzyki stojące! Com ja się też matki o nie naprosił—i nic! Pocałowałem w rękę pannę Kazimierę raz, drugi, trzeci, i byłbym bez końca całował, taka mię radość porwała. Spojrzałem pożądliwie na stół. Leżą, jak pragnę zdrowia pana Dulskiego, leżą wykrochmalone, białusienkie, sztywne... Jakem ja tam ustał, póki mi ich panna Kazimiera w papier nie zawinęła, jakem do domu zaniósł — doprawdy nie wiem! Coś we mnie śpiewało przez całą drogę, a nogami takem ślicznie sunął po nierównym bruku, jak panowie łyżwiarze po lodzie.

W parę dni potem wypadła niedziela. Obudziłem się ze wschodem słońca; te kołnierzyki spać mi nie dawały. Wstałem i po pacierzu dalejże szyję koszerować. Ćwiartkę mydła matce wymydlilem i jeszcze sobie za piątkę pumeksu kupiłem, żeby tylko tę szyję domyć, jak należy. I domyłem. Jakem się w lusterku przejrzał: ja, czy nie ja? Taki by-

łem biały, jak dziewczyna. Aż tu naraz kiedy mnie matka nie zdzieli kijem przez plecy!...

— Widzisz go, frant, galanternik, nicpoń! Kołnierze będzie kupował, a matka biedę klepie...

Miły Boże! Mogłem potem uprać te kołnierzyki we łzach, które nad niemi wylałem. I nie o te basy przecie mi chodziło, co mi je matka na plecach kijem wypisała. Wcale nie! Tylko mię żal zdjął okrutny, bo kołnierzyki powędrowały do matczynego kuferka i długom ich nie oglądał.

Poskarżyłem się pannie Kazimierze na matkę, ale mię sfukała, bo matce—mówi—wszystko wolno. Oczywiście. Ale co matka miała do tych moich kołnierzyków, do dnia dzisiejszego pojąć nie mogę.

Na lekcyę do p. Dulskiego chodziłem regularnie. Z Franusiem Dulskim bardzośmy się polubili, p. Adam za to z góry na mnie patrzył. Skoro tylko mógł, wnet mi figła spletał. Niech no tylko p. Dulski wyszedł, on zaraz do mnie: „Ty chanie, ty przybłędo, mój brat łaskę ci świadczy, dla ciebie w kuchni miejsce“ i t. p.

Nieraz bywało, tom się w kącie wyplakał, ale p. Dulskiemu słowa nie pisałem. Za to panna Ludwinia zawsze mnie broniła.

Raz, pamiętam, w samą wigilię Zielonych Świątek p. Dulski rzekł do mnie:

— Marcinie, przyjdiesz jutro o dziewiątej rano. Pojedziemy razem na Bielany.

I wyszedł. Panna Ludka zaczęła klaskać w rączki.

— Jak to dobrze!—wołała.—I mamusia pojedzie, i p. Kazimiera, i Marcinek!

Adaś patrzył na mnie z pod oka i ogryzał paznogie. Wreszcie rzekł:

— Marcin tam najwięcej potrzebny. Wstyd tylko, nic więcej.

Franuś, chcąc to przerwać, pyta:

— Czem byś ty chciał być, Marcinie?

— Księdzem — wtrąciła żywa, jak srebro, Ludka.

— Wcale nie!—zaprzeczyłem szybko.

— Szewcem, albo kominiarzem—zawołał Adaś. Udałem, że nie słyszę.

— Zecerem? — pytał znów Franek.

— Myli się panicz. Ja będę literatem — odparłem śmiało.

Wybuchnęli śmiechem.

— Literatem, Marcin literatem!—krzyczał, zaśmiewając się Adaś. Widzisz go! Jaki to cham zarozumiały!

Zaciąłem zęby, i choć krew we mnie kipiała, milczałem. Nie godziło mi się przecie zapominać, że to brat mego dobroczyńcy.

— Nie wymyślaj Marcinowi od chamów—ujął się Franek, a p. Ludka na pół z płaczem mówi:

— Chciałabym, żebyś ty był taki dobry, jak Marcinek. Dlaczego nie chcesz, żeby on był literatem? Dlaczego? dlaczego?

— Chyba buty będzie literatom czyścić! — zawołał jeszcze Adaś i umknął.

Panna Ludka też wybiegła za chwilę. Wziąłem czapkę, pożegnałem się z Frankiem i wychodzę. Wtem przy drzwiach ktoś mnie za rękę chwyta.

— Marcinku, masz tu kromkę chleba z powidłami—szczebioce Ludka.—Schowałam ci od podwieczorku, bo wiem, że lubisz powidła.

Drogie dzieciątko! Pocałowałem ją w rączkę, a ona objęła mnie za szyję i pocałowała. Co się wtedy ze mną stało, sam nie wiem. Wypadłem na ulicę, jak głupi. Wieczór był, na ulicach tłum się snuł w tę i w ową stronę; dziwiłem się, że nikt na mnie nie patrzy, że mię potracają, jak gdybym był pierwszym lepszym. Ja, którego panna Ludka, siostra p. Dulskiego, pocałowała!

Późno już było, alem nie zważałem, i puściłem się nad Wisłę Alejami. Tak mi się jakoś w pierśiach rozszerzyło, że musiał głośno oddychać. Nad Wisłą cicho było. Od Kępy wiatr ciepły, miękki pędził świeży zapach ziół i kwiatów, na wodzie migotały w dali światełka orylów i przeglądały się gwiazdy. Siadłem na brzegu. Tak mi się różne

myśli do głowy toczyły, że jedna drugą wypychała. Czegom ja wtedy nie roił! Widziałem siebie w mundurze gimnazyasty, brałem nagrody w każdej klasie i kupowałem Ludwini bez biały i fijołki, za pieniądze, którem z korepetycyi zarobił. Potem i mundur niebieski z galonami przyśnił mi się, taki, jak ma ten student z trzeciego kursu, co nas matematyki uczy. Dziwy mi się roily, a Wisła płynęła cichutko, tylko ciemniała coraz więcej.

Zacząłem się jej przyglądać. Wydała mi się taka gładziuteńka, że ręką po niej, jak po atłasie, wodzić można było. I czemu to się ludzie boją wody! — myślałem. I przyszło mi do głowy, że gdybym ja swego nie dopiął, książek pisać się nie nauczył, żeby oto byle smarkacz chamem mi w oczy bryzgał, tobym chciał w taki cichy, jasny wieczór przyjść, jak dziś, nad Wisłę naszą kochaną, i położywszy się na fali, lecieć, płynąć gdzieś w głębinie, gdzieby ludzie już nie dokuczali i niczego się nie pragnęło... Tylkoby mi pocałunek Ludki woda zmyła... O, tego tobym żałował!

Późno już było, gdym do domu wrócił. Innym razem matkaby mię sfukała, ledwobym we drzwi wszedł, a dziś nic. Patrzy na mnie wesolo, kubek z herbatą podaje... Dziwy!

— P. Dulski tu był... — odzywa się wreszcie. Zerwałem się od stołu.

— P. Dulski? U nas? A pocóż, proszę matki?

— Jutro się dowiesz. Idź spać, boś zmęczony. Pan Dulski to zacny człowiek.

Jużem słowa więcej od matki wydobyć nie mógł.

Nazajutrz wszystko się wyjaśniło.

— Prosiłem pana redaktora — rzekł do mnie p. Dulski — aby się tobą zajął. Od wakacyi pójdziesz do gimnazyum. Wiem, coś zamierzył, bo mi Ludka i Franek powiedzieli. Wysoko sięgnąłeś, ale zdolności wielkie posiadasz i pracować lubisz. Powinieneś zdać do drugiej klasy. Zdasz, pewny jestem! Za trzy tygodnie egzamin. Wpis z funduszu składkowego pan redaktor zapłaci. Jużemy się umówili.

Stałem jak mur, bez słowa, bez łzy.

Musiałem być bardzo blady, bo p. Dulski pogładził mię po głowie i tak pocziwie patrzył, jak na pannę Kazimierę wtedy na Bielanach.

— Trzeba, aby jeden drugiemu dopomagał— odezwał się po chwili p. Dulski.—Dziś ty z grosza publicznego korzystać będziesz, pamiętaj więc, abyś go innym w przyszłości oddał. Tylko trzymając się wzajem za ręce, można stać mocno i zająć wysoko.—Rozumiesz!

— Rozumiem, mój opiekunie, mój ojcze!—zawołałem, do rąk mu się cisnąc.

I takem się rozbeczał, że p. Dulski uciekł z pokoju, i panna Ludka przybiegła.

— Co się stało, Marcinie?—pytała strwożona.

— Uspokój się... Będziemy razem zdawali egzamin, bo i ja na pensję idę. Tylko ja do wstępnej, a ty odrazu do drugiej! Chciałabym już być taką, jak ty! Ale nic się o ciebie nie boję, nic a nic!—zapewniała, patrząc na mnie wesoło ślicznymi czarnymi oczkami.

— Nie zrobię panience wstydu — szepnąłem.

I nie skłamałem. Po wakacyach jako pierwszy uczeń rok szkolny rozpocząłem.

W połowie listopada jakoś siedzę pewnego wieczoru przy łójówce i kuję łacinę. W tem wpada jak bomba Franek. Porozbijał stołki po drodze, zawadził o stolik, wylał wodę z dzbanka i krzyczy:

— Marcin, wesele, wesele! Będzie tort i bratowa, lepsza jeszcze od tortu.

Zerwałem się, jak szalony.

— Co ty mówisz?—pytam.

Tykaliśmy się już, jako koledzy gimnazjalni.

— Stach się żeni—odparł Franek.—Kazał cię prosić, abyś w sobotę o szóstej był u nas. I panna Kazimiera bukiet mirtowy ci szykuje.

Ledwom go nie zdusił w uścisku.

Już jakem ja tego pragnął, to chyba na równi z p. Dulskim!

Doczekałem się wreszcie soboty.

Ach, jaka też panna Kazimiera była śliczna! P. Dulski, kiedy ją przez kościół prowadził, urósł

chyba o pół głowy. Widziałem, że przy ołtarzu drżał ze wzruszenia, a mnie i pannie Ludce łyzy się w oczach kręciły. Panna Ludka w różowej sukience wyglądała jak święty obrazek.

Siedzieliśmy potem obok siebie przy wieczerzy, i nikt inny, tyłkom ja jej usługiwał. Szczęśliwy to był dzień! P. Dulski ciągle nas prześladował żartami.

— Cóż, Ludka,—pytał—chciałabyś tego akademika za męża?

P. Ludka czerwieniła się i oczki spuszczała. P. Dulski za boki się brał od śmiechu.

— Patrzno-no, Kaziu, jak ten dziedziuch dorosłą pannę udaje—mówił do żony.—To zabawne!

Ja skręcałem rożek serwety, aż mi w palcach trzeszczała; oczy wlepiłem w guziki mundura, i ani rusz ich stamtąd odprowadzić. Panna Kazimiera czyli pani Dulska, uśmiechała się do nas milutko, a jeszcze milej do p. Dulskiego, i coś mu szeptała, patrząc na nas. Wyraźnie słyszałem, jak p. Dulski mówił: „Czemu nie! Chłopak ma piękną przyszłość przed sobą“.

Od tego wesela tom się jeszcze we dwójnasób zaprzągnął do pracy. Przybrałem jeszcze dwóch małych chłopców do nauki i grzebałem się w książkach i w dzień i w nocy.

Skąd ja sił czerpałem, sam nie wiem. Innego byłoby zmogło, mnie nie. Nie czułem nigdy chłodu,

choć bywało i tak, że w mundurku zimę przechodził. Nie wstydziłem się wytartych łokci, ni butów wykoszlawionych od starości, byłem naprzód szedł, szedł...

Rok za rokiem mijał. Piątą klasę przebiegłem, jak biczem ltrzał. Anim się nie obejrzał. Nagrody z odznaczeniem w każdej klasie brałem, więc dusza się we mnie radowała, bo mi wszyscy mówili, że medal dostanę. Mój Boże, jakie to były czasy! Siła książek połknąłem, siła seksternów zabazgrałem; w głowie niejedna myśl dobra się uleżała. Miałem tyle korepetycyi, że matkę i siebie mogłem utrzymać. Raz posłyszałem niechęć, jak się Adam z Ludką o mnie sprzeczali. Ledwo mi serce nie wyskoczyło z piersi. Adam, który mnie zawsze nie lubił, powiedział do niej tak:

— Słuchaj Ludka, ty się w Piątku durzysz, prawda? Nie wstyd ci? Tem się jeno pocieszam, że to tak po pensjonarsku.

Dech w sobie zapałem, by odpowiedź Ludki usłyszeć.

Stach mówi, że przed Marcinem wielka przyszłość — rzekła z powagą. — Czego ty chcesz od niego, mój kochany? Języki, historię, literaturę zna na palcach! Grosza też umie szanować, nie tak jak ty!

Nie chciałem słuchać więcej i uciekłem. Dość wiedziałem, by całą duszę szczęście wypełniło.

Przyszłość! O tak! Pewny jej jestem. Po gwiazdy sięgnę, byle Ludkę dostać.

Rozpoczęły się egzamina w szóstej klasie. Byłem smutny, przygnębiony. Coś niedobrze się działo u pp. Dulskich. Starszą panią Dulską sparaliżowało, i już się z łóżka ruszyć nie mogła; pani Stanisławowa od śmierci ojca i urodzenia pierwszego dziecka często chorowała. Potem synek się drugi urodził... P. Dulski cieszył się nimi, żonę pieścił, ale mu włosy na skroniach posiwiały. Choroba w domu to rzecz kosztowna. Zresztą trzeba było służącą drugą przyjąć, pokoik jeden przynająć.

Pewnego dnia otrzymałem karteczkę od pani Stanisławowej. Tknęło mnie przecucie. Zdawało mi się, że czytam między wierszami, iż tam wydarzyło się coś złego. Poszedłem struty do klasy. Dziwiłem się potem, żem zdał, bo myśl wciąż uciekała na Hożą. Skończyła się wreszcie moja męka.

— Franku, co tu słyhać? — pytam w przedpokoju jeszcze.

Położył palec na ustach.

— Cicho! Stach chory—szepnął.

Zdrętwiałem. Dopiero w tej chwili poznałem, jak ja p. Dulskiego kocham! Kurcz mię złapał za gardło, i tak mi było, jakby mi kto obcęgami krtań ścisnął.

Wszedłem do pokoju, gdzie p. Dulski leżał.

Boże, jaki zmieniony! Oczy błyszczą, niby szklane, policzki w ogniu, na głowie pęcherz z lodem.

— Źle, Marcinie!—szepnął spostrzegłszy mnie.

Popatrział na mnie dziwnie głęboko, jak gdyby do dna duszy chciał zajrzeć, i więcej już przytomnego słowa od niego nie słyszałem.

— Tyfus — oznajmił lekarz dnia następnego i kazał dzieci usunąć.

— I tyś tu niepotrzebny—rzekł do mnie.

Spojrzałem na niego takim wzrokiem, że już nie nalegał.

W dziesięć dni potem odprowadziliśmy pana Dulskiego na cmentarz.

Słyszałem dzwony, śpiew i płacz... Widziałem kilku księży i płomyki światła, drgające od wiatru, i p. Grabowskiego, i p. Maluka, i innych zecerów, i redakcyę, nawet Wacka z cylindrem w ręce.

Zdawało mi się, że jestem gdzieś w jakimś innym świecie, zdała od Warszawy, od Hożej ulicy, gimnazjum, i że tamto wszystko, com przeżył, snem było, i ja nie znałem nigdy żadnego pana Dulskiego, nie przynosiłem mu serdelków na śniadanie, ani biegałem z bilecikami na bednarską... Patrzałem bezmyślnie, gdy kondukt żałobny w coraz inną skręcał ulicę, zatrzymywały się tramwaje, mężczyźni zdejmowali czapki. Po co? Dlaczego?

Na rogu Dzielnej stał Włoch z katarynką. „Jeszcze raz, jeszcze raz, ptaszku mój...”—śpiewał

donośnym, czystym głosem, kręcąc korbą zawzięcie, i mnie wtedy coś targnęło. Kto to śpiewał? Wszak ja to słyszałem dawno, dawno... Więc chyba to ja chodziłem do drukarni, przynosiłem rękopisy i bileciki od panny Kazimiery... P. Dulski czytał je długo, a potem zawsze śpiewał: „Jeszcze raz, jeszcze raz, ptaszku mój...”

Podniosłem oczy obejrzałem się. Przedemną idzie pani Stanisławowa, taka ku ziemi zgięta, jak staruszka. Idzie Franek, Adam, panna Ludwika w czarnej zasłonie i dwoje dzieciątka pana Dulskiego. Gdzie on się ukrywa.

Poskoczyłem naprzód. Wyraźnie widzę, że trumnę niosą. Muszę przeczytać, bom ciekaw. Mignęła mi blacha, i wieniec zielony, i białe wstęgi. Stałem przy trumnie. „Stanisław Dulski, żył lat 42“... — czytałem wolno, bardzo wolno, aż mi mgła krwawa przestłoniła oczy.

Jużem nic potem nie widział, nie słyszał.

.
.

Gimnazjum nie skończyłem, na uniwersytet nie poszedłem, książek nie pisałem i z panną Ludką nie ożeniłem się.

Śmierć mojego opiekuna pokryła kirem jasne projekty mej przyszłości. Zostałem zecerem w drukarni na Wiejskiej, bo liczna gromadka niezarad-

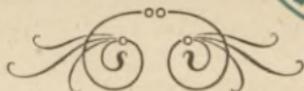
nych istot, pozostała po nieboszczyku, potrzebowała chleba.

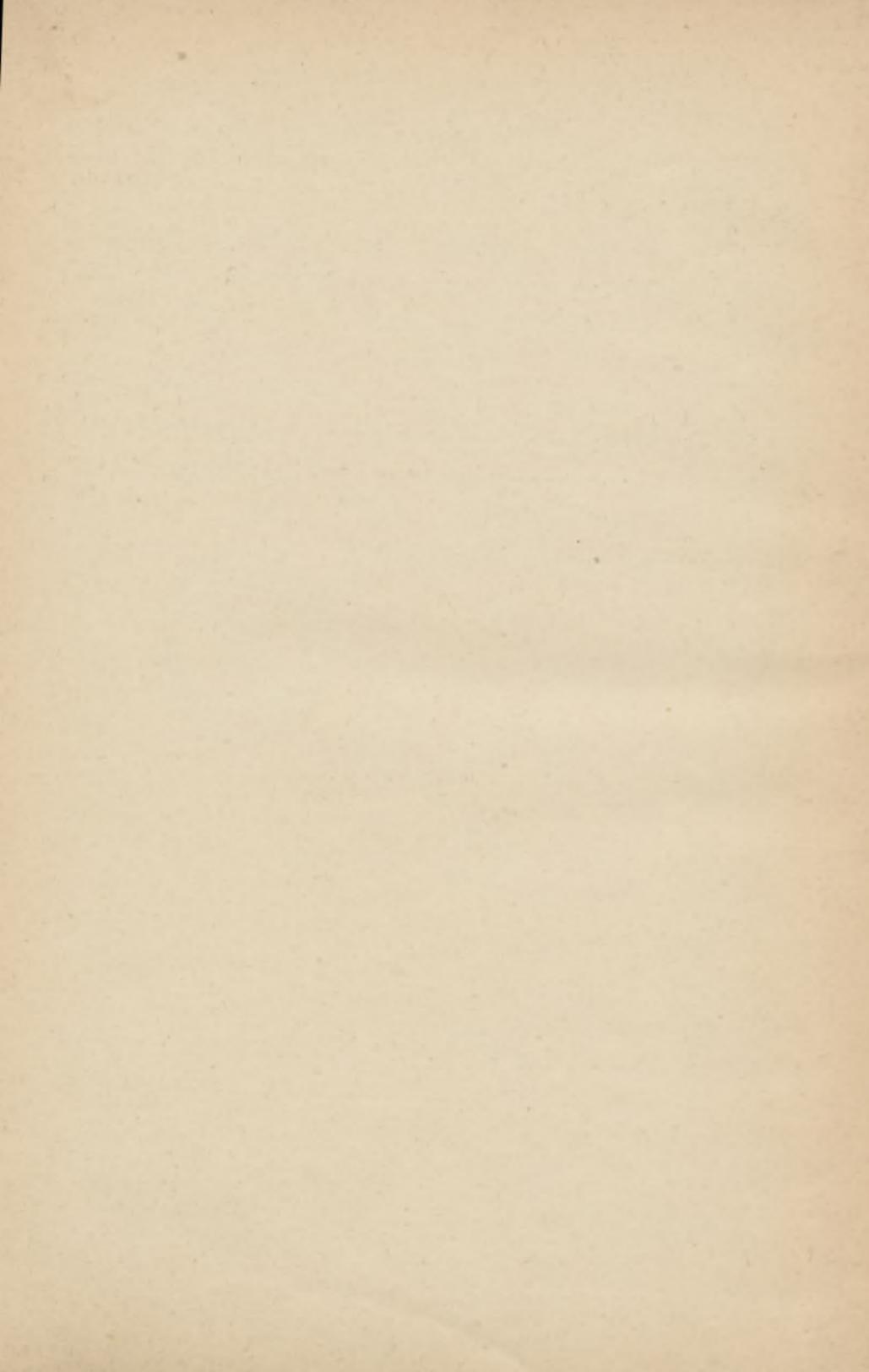
Z początku myślałem, że panna Ludka trud ten podzieli ze mną, ale ona pragnęła być żoną człowieka, któryby miał przed sobą „wielką przyszłość“.

Gdy mi bardzo smutno, uciekam na Powązki.

Nie wiem, o czym gwarzą srebrnolistne na grobie mego dobroczyńcy brzozy; ja w szmerze ich listków słyszę niekiedy:

„Trzymajcie się społem!“







260

241V/3/16205

WYŻSZA SZKOŁA
PEDAGOGICZNA W KIELCACH
BIBLIOTEKA

197843

Biblioteka WSP Kielce



0067926